

PIŁOMYCZEK

ROK 29

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

24. IX. 1950

Nr

4



Fot. T. Bukowski

Rumienia się jabłuszka

PTAKI ODLATUJĄ

Kiedy coraz mniej owadów unosi się w powietrzu i chłody nocne zapowiadają nadejście jesieni, wówczas większa część ptaków owadożernych zbiera się do odlotu. Obawiają się widać, że zbraknie im zimą pożywienia.

Najjnniej wytrzymałe na chłody są czarno-żółte wilgi i piskliwe jerzyki. Przylatują do nas dopiero w maju i zaledwie wychowają potomstwo, już w sierpniu odlatują z powrotem. W sierpniu też odlatują stare kukulki, podczas gdy młode pozostają jeszcze przez wrzesień. Dziwny jakiś instynkt kieruje lecącymi ptakami. Można by przypuszczać, że te, które lecą stadami, uczą się od starszych, jaką obrać drogę i kiedy wyruszyć. Tymczasem kukulki lecą zawsze samotnie. Urodzone w cudzym gnieździe, nie znają rodziców i nikt im nie wskazał drogi na południe. A jednak, podobnie jak inne ptaki, lecą one zawsze tymi samymi szlakami, któ-

rymi całe pokolenia przelatywały dotychczas.

Nieraz na pewno dziwiliście się, dlaczego niektóre ptaki odlatują, a inne pozostają. Nie umiemy jeszcze na to pytanie zupełnie pewnie odpowiedzieć. Malutki *mysikrólik* czy *strzyżyk* nie boi się mrozu i pozostaje, choć jego najulubieńszym pożywieniem są owady, a odlatują o wiele od niego większe ptaki, którym może łatwiej byłoby przetrwać u nas zimą.



Najbardziej zrozumiałe są dla nas odloty ptaków wodnych i nadwodnych. Kiedy wody zamarzną, zabraknie im pożywienia. Żaby ukryją się w mule, a skorupa lodowa odetnie dostęp do ryb i innych wodnych stworzeń. Nie czekają tej chwili bociany. Odlatują już w sierpniu, choć jeszcze przez kilka miesięcy mogłyby znajdować pożywienie na łąkach i brzegach stawów. Ale też czeka je długa droga. Przez kraje bałkańskie, nad brzegami Malej Azji, przez Arabię dostają się do Afryki i tam wzdłuż rzeki Nilu





lecą aż na południowy kraniec lądu. Daleka to droga, trwająca trzy miesiące. Krótko też tam popasają. Już w lutym ruszają w drogę powrotną.

Dążąc na południe omijają ptaki wszelkie większe przeszkody. Nie lecą więc ponad wysokimi górami, ale zbaczają z prostej linii i przełatują dolinami lub przełęczami oddzielającymi pasma górskie. Ptaki lądowe starają się też jak najkrócej znajdować się nad powierzchnią morza, która grozi im wielkim niebezpieczeństwem. Bardzo wiele ich ginie we mgle czy podczas burzy na morzu. Wolą też lecieć w kierunku południowo-wschodnim lub południowo-zachodnim i przemykać się nad morzem w jego najwęższych miejscach, jak cieśnina Gibraltaru czy Bosfor.



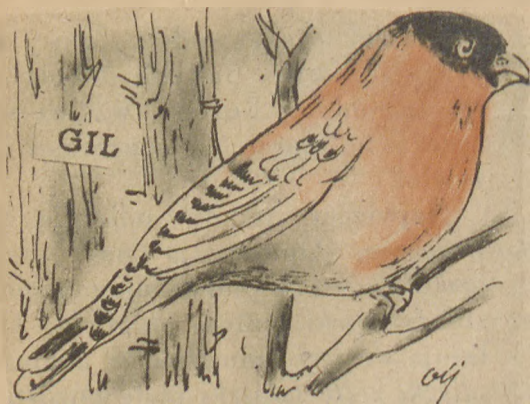
Inaczej ptaki wodne. Mewy na przykład lecą z Bałtyku dokoła całej zachodniej Europy, wzdłuż wybrzeża, bo morze — to przecież ich żywioł.

Najwięcej ptaków odlatuje we wrześniu. Opuszczają nas wtedy jaskółki — najpierw długoogoniaste dymówki, potem oknówki. Odlatują we wrześniu słowiki, gajówki, pliszki żółte (pliszki białe pozostają jeszcze do października), pokrzewki, muchołówki, błękitne kraski, czubate dudki, krętogłowy, górskie kopciuszki z rudymi ogonkami, przepiórki, dzikie kaczki i wiele in-



nych. Niektóre z nich lecą bardzo daleko, inne — tylko do trochę cieplejszych stron. Jaskółka dymówka na przykład dolatuje aż do południowej Afryki, gdzie spotka się z bocianami, a dzikie kaczki, szpaki, kwiczoły i skowronki zimują w Europie południowej i zachodniej lub w północnej Afryce.

Jeszcze w październiku i listopadzie, kiedy opuszczają nas ostatnie ptaki przelotne, z północy przylatują nowi, zimowi przybysze. Będą to mieszkańcy krajów północnych, dla których nasza zima jest fraszką w porównaniu z ich wiele miesięcy



trwającą nocą. Przylatują więc do nas gile, jemioluszki, śnieguły i czeczotki, a także i wrony, podczas gdy nasze wrony odlatują na południowy zachód.

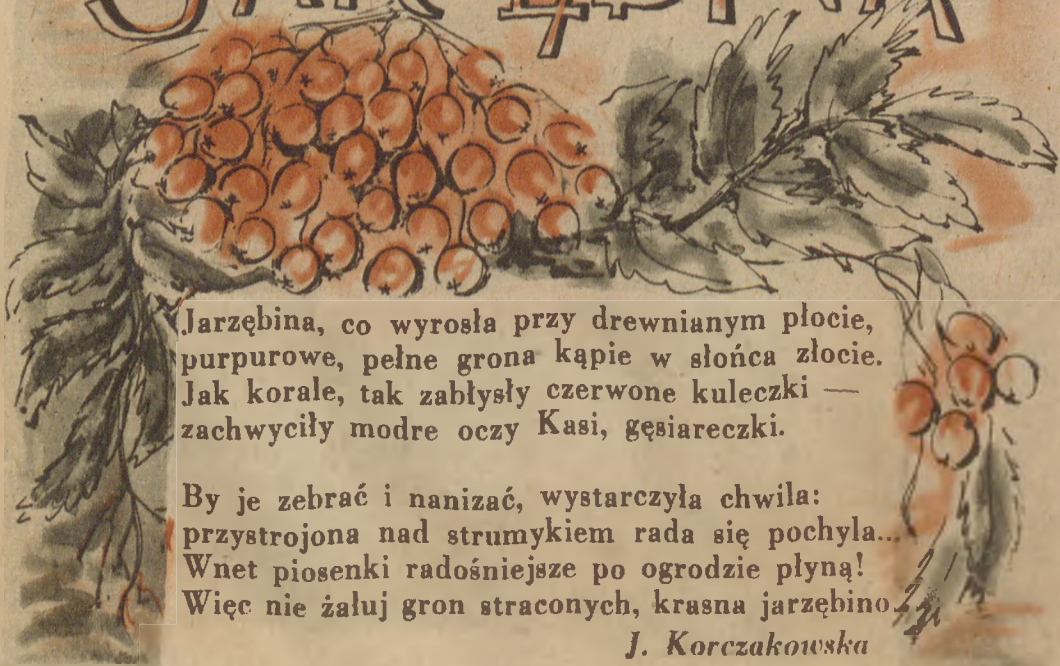
Ptaki, pozostające u nas, czekają głody i chłody. Jedna tylko sówka, ta, co to „wybiera się za morze”, robi zimowe zapasy. Znalezione

orzechy laskowe czy bukowe wtyka tu i ówdzie w mech lub pod zeschnięte liście. Ale cóż z tego! Sówka zapomina wkrótce o swojej spiżarni i nie może najczęściej odnaleźć swego skarbu. Jej praca nie idzie jednak na marne. Ukryte orzechy czy żółędzie kielkują i wyrastają z nich nowe drzewa. Inne, wierne nam, ptaki nie robią specjalnych przygotowań na zimę. Póki mają jeszcze owady, żywią się nimi, gdy ich zbraknie, przelatują stadami z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pozostałych na drzewach jagód jarzębiny, jałowca, śnieguliczki, czarnego bzu i sterczących po polach chwastów z resztkami jeszcze nie rozsianych nasion.

Hanna Zdzitowiecka

Rys. O. Isterewicz

JARZĘBINA



Jarzębina, co wyrosła przy drewnianym płocie, purpurowe, pełne grona kąpie w słońca złocie. Jak korale, tak zabłysły czerwone kuleczki — zachwyciły modre oczy Kasi, gęsiareczki.

By je zebrać i nanizać, wystarczyła chwila: przystrojona nad strumykiem rada się pochyla... Wnet piosenki radośniejsze po ogrodzie płyną! Więc nie żałuj gron straconych, krasna jarzębino!

J. Korczakowska

MARYSINE PÓLKO

Pod lasem, nad rzeczką jest kawałek czarnej, torfiastej ziemi. Ten kawałek ziemi nazywa się właśnie Marysinym pólkiem. Marysia uprawia na nim len. Dużo ma kłopotu z tą uprawą.

Przyjechały na wiosnę do wsi siewniki. Pobiegła Marysia do maszynistów z prośbą:

— Zasiejcie mi i moje pólko!

Ale maszyniści wzruszyli ramionami:

— Do lnu potrzeba innego siewnika.

Musiała Marysia chodzić do ośrodka maszynowego, żeby jej inny siewnik przysłali. Chociaż jej pólko było małe, jednak siewnik dostała.

— Uprawa lnu — powiedzieli w ośrodku — jest bardzo ważna. Trzeba małej rolniczce pomóc!

Pewnego wiosennego dnia zaterkotała na Marysinym pólku maszyna.

Wpadło w bruzdę spod siewnika brunatne ziarenko.

Otulone płaszczem ziemi, rośło pomaleńku.

Aż wyrosła z tego ziarenka łodyżka zielona,

a dokoła milion innych, zielonych jak ona.

Ucieszyła się Marysia, że jej dobrze zasiany len tak równo i gęsto powschodził. Zaczęły się jednak nowe kłopoty — walka z chwastami. Do późnego wieczora nieraz peła Marysia swój len, ale osiągnęła to, że był czyściutki, jak rzadko się





zdarza. A kiedy pewnego ciepłego dnia odwiedziła swoje pólko, oczy jej zabłysły z zachwytu.

Patrzy Maryś — na lodyżkach milion kwiatków kwitnie.

Hej, zrobiło się na pólku,
jak w niebie, błękitnie!

A potem, w lecie — nowa zmiana. Kwiatki opadły i pólko zalane słońcem złociło się jak czyste złoto.

I złociły się lodyżki

do samej jesieni,

zanim smutny wiatr jesienny
znow ich nie odmienił.

Poszarzały, powędły. Młoda rolniczka wiedziała, że nadszedł czas, aby je z pólka sprzątnąć. Pozrywała len w równe garstki, powiązała garstki w grube pęczki, zaniósła do sadzawki, wymoczyła, potem rozłożyła lodyżki na brzegu, wysuszyła, oddzieliła główki z nasionkami, zawiozła swój len do miedlarni, w któ-

rej maszyna pokruszyła zeschłe, szare lodyżki. A potem:

wytrzepały z nich Marysi
rączęta nieduże

cały smutek ich jesienny,
wszystkie pyłki kurzu.

Wyszły z rączek tych cieniutkie,
całkiem cieniuteczkie,
ale znow jak słońce złote,
złociutkie niteczki.

Pozostało już tylko te niteczki odwieźć do fabryki tkackiej.

— Piękny len — pochwalił Marysię magazynier fabryczny — pierwszego gatunku!

Wróciła Marysia zadowolona do domu. Ale przypomniała sobie jeszcze o wykruszonych z lnianych główek brunatnych nasionkach. Klasnęła w dłonie:

— Przecież trzeba je zawieźć do fabryki oleju!

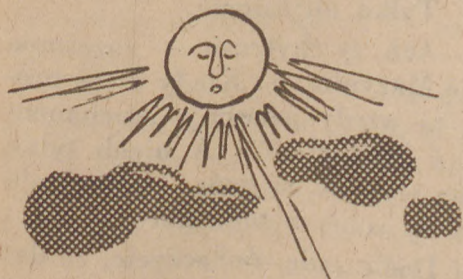
— Piękne siemię — pochwalono Marysię znowu w tej fabryce — będzie z niego olej pierwszego gatunku, a z wytłoczyn będą jeszcze świetne makuchy dla krów!

Dużo miała pracy Marysia przy swoim małym lnianym pólku, jednak tej pracy nie żałuje, bo ma dużo z niego pożytku. Na Marysinym stole bieli się śliczny, biały, lniany obrus. W oborzę Krasula przeżuwa oślinionym pyskiem tłuste makuchy i daje o wiele więcej i lepszego mleka. A w ośrodku maszynowym, z którego Marysia pożyczala siewnik, mechanicy w granatowych kombinizonach smarują olejem części maszyn, żeby nie pordzewiały przez zimę i na przyszły rok mogły ludziom równie dobrze służyć.

Z. Przyrowski

Rys. H. Przeździecka

DZIURA w BUCIE



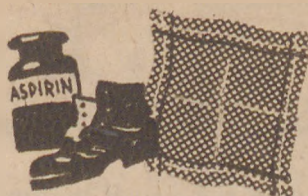
Straszne rzeczy! Dziura w niebie!
Słońce w pudle z nićmi grzebie.
Całe szczęście — obłok biały
dał pokrajać się w kawały.
Wszyscy patrzą się do góry:
była dziura — nie ma dziury.



Straszne rzeczy! Dziura w moście!
Prędko! Prędko! Deski noście!
Wpadł w tę dziurę pan Jacenty,
wisi, bo ma brzuch wypięty.
Prędko! Prędko! Deski! Sznury!
Była dziura — nie ma dziury.



Straszne rzeczy! Dziura w garnku!
Cieknie woda małą szparką.
Dziura w garnku, miły Romciu,
bieda, Romciu, w naszym domciu...
Wetknij pióro — piórko kurki!
Była dziurka — nie ma dziurki.



W niebie? W moście? Takie dziury
to są śmiechy, to są bzdury!
Ale koniec bajek, uciech,
gdy się zrobi dziura w bucie.
Wtedy grypa, wtedy katar
i kichanie jak armata.



— Panie majstrze! Niech pan
patrzy!

Zęby sterczą tu jak w paszczy!
W środku mokro, pełno wody —
czy to but jest, czy krokodyl?
Panie majstrze, drogi, złoty!
Weź się zaraz do roboty!



Straszne rzeczy! Dziura w niebie!
Słońce w pudle z nićmi grzebie...
Lecz czy umiesz dobrze cenić
pracę szewca tu, na ziemi?
Widzisz — dratwa, kawał skóry.
Była dziura — nie ma dziury!

Rys. K. M. Sopoćko

J. Kierst



MOPS

Sasza dawno już prosił mamę, żeby mu kupiła pistolet.

— Na co ci taki pistolet? — protestuje mama. — To niebezpieczna zabawka.

— Co ty mówisz, mamusiu? Dlaczego niebezpieczna? Czy można kogoś zabić?!

— Zabić nie, ale zawsze może się coś stać... Możesz sobie oko wypalić.

— Nie wypalę, zobaczysz, że nie wypalę, jak będę strzelał, to zamknę oczy.

— Nie... Nie kupię ci. Z tymi pistoletami są zawsze jakieś nieprzyjemności. Wystrzelisz i kogoś jeszcze przestraszysz. Nie proś, bo nic z tego nie będzie — mówi stanowczo mama.

No i oczywiście nie kupiła pistoletu.

Ale Sasza ma dwie starsze siostry: Irenkę i Marynkę.

Zwrócił więc swoje prośby do siostr.



Pris.

— Złociuteńkie, moje najmilsze siostruńki! Kupcie mi pistolecik! Błagam was. Ja tak bardzo, tak bardzo chciałbym go mieć. Jak mi kupicie, to już zawsze będę was słuchał. Tylko mi kupcie.

— Ach, ty chytrusie — roześmiała się Marynka. — Kiedy o coś prosisz, to wtedy jesteśmy „kochaneńkie” i „miluchne”. A niech tylko mama wyjdzie za próg. Ho, ho! nie możemy sobie z tobą dać rady.

— Dacie radę. Zobaczycie, że dacie radę. Będę grzeczny!

— No, dobrze! — zgodziła się Irenka. — Zastanowimy się obie z Marynką. Jeżeli przyrzekniesz, że będziesz się dobrze sprawował, to być może, że ci ten pistolet kupimy.

— Przyrzekam, przyrzekam.

Następnego dnia siostry podarowały mu pistolet i pudełko z kapiszonami.

Pistolet był nowiutki, błyszczący, a kapiszonów mnóstwo. Choćbyś przez cały dzień strzelał, to i tak wszystkiego nie wystrzelasz.

Skakał z radości Sasza, tulił pistolet do serca, całował go i przemawiał czule:

— Mój ty kochany, mój ty prześlizny, mój ty jedyny i najdroższy. Och, jak ja cię kocham...!

Potem wydrapał na pistolecie swoje imię i zaczął strzelać. Zapachniało prochem, a po pół godziny nie pokój był siwy od dymu.

— Dość tego — powiedziała wreszcie Irena. — Za każdym razem aż podskakuję od tych strzałów.

— Ty tchórzu — powiedział Sasza. — Wszystkie dziewczuchy to tchórze.

— Zaraz ci odbierzemy ten pistolet i schowamy, to dopiero zobaczysz, jakie z nas tchórze — pogroziła Marynka.

— To ja idę na podwórko i będę pistoletem straszył dzieci — oznajmił Sasza.

Poszedł na podwórko, ale dzieci na podwórzu nie było. Wybiegł więc przed bramę i wtedy właśnie wydarzyła się ta cała historia. Akurat w tym czasie szła ulicą jakaś staruszka. Sasza palnął z pistoletu tuż przy niej. Staruszka podskoczyła z przerażenia i stanęła jak wryta.



Pród:

— Ojej, jak się wystraszyłam! Czy to ty tak z pistoletu strzelasz?

— Nie — powiedział Sasza i ukrył pistolet za plecami.

— Jak to nie? Przecież dobrze widzę, że trzymasz w ręce pistolet. I jeszcze kłamiesz. Wstydu nie masz. Czy specjalnie tu przyszedłeś, żeby ludzi straszyć? Co? Zaraz dam znać do komisariatu.

Pogroziła mu haczykowatym palcem, przeszła na drugą stronę ulicy i znikła za rogiem.

„To ci dopiero heca! — przestraszył się Sasza. — Może naprawdę poszła do komisariatu“.

Sasza pobiegł zdyszany do domu.

— Czegoś się tak zasapał, jakby cię ktoś gonił — spytała Ira.

— Ee, tak sobie.

— Nie wykręcaj się. Mów, co się stało. Przecież widzę, że coś spsocileś.

— Ja nic, a nic nie spsociłem. Tylko tak... po prostu... nastraszyłem jakąś babkę.

— Jaką znów babkę? Co ty pleciesz?

— „Jaką“ i „jaką“. Zwyczajną babkę. Taką, jak wszystkie. Szła ulicą, a ja strzeliłem z pistoletu.

— Więc dlaczego wystrzelileś?

— A bo ja wiem? Patrzę, idzie babka, więc myślę — strzele. No i strzeliłem.

— A babka co?

— Nic. Poszła do milicji na skargę.

— Widzisz! A obiecałeś, że będziesz się dobrze sprawował. I zobacz sam, coś ty nabroił?

— Czy to moja wina, że akurat trafiła mi się taka tchórzliwa babka?

— Czekaj, czekaj, przyjdzie milicjant, to ci pokaże tchórzliwą babkę. Będiesz wiedział, co to znaczy ludzi straszyć.

— A jak mnie znajdzie? Przecież nie wie, gdzie mieszkam. Nawet nie zna mojego imienia.

— Już się nie bój. Znajdzie cię na pewno. Milicja wszystko wie — zapewniła go Irenka.

Sasza przesiedział w domu całą godzinę i spoglądał zaniepokojony przez okno.

Ale nikogo nie było widać. Powoli wracał mu humor.

— E, babka chciała mnie na pewno tylko nastraszyć.

Postanowił więc znów trochę postrzelać z pistoletu i sięgnął do kieszeni. W kieszeni było pudełko z kapiszonami, ale pistolet znikł. Złapał się za drugą kieszeń, ale ta również była pusta. Rozpoczął więc gorączkowe poszukiwania po całym domu. Zaglądał pod stoły, szafy, kanapę — pistolet znikł bez śladu. Jakby się pod ziemię zapadł.

Sasza tak się zmartwił, że aż łzy stanęły mu w oczach.

— Nie zdążyłem nawet pobawić się nim jak należy! — chlpał. — Taki był śliczny i już go straciłem!

— A możeś go zgubił na podwórku? — spytała Ira.

(dokończenie w nast. numerze)

Tłum. Maria Górską

Rys. H. Przędzilecka

W GROMADZIE

Jeśli sam jesteś, niełatwo
dokonasz trudnej pracy.
Jeśli pracuje nas kilku,
robota pójdzie inaczej.

Wspólnym wysiłkiem dźwigniemy
choćby największy ciężar.
Kto sam jest — ten przegrywa!
Kto jest w gromadzie — zwycięża!

Więc złączmy razem swe siły,
by wspólnie pracę prowadzić!
Plon będzie większy stokrotnie,
gdy pracujemy w gromadzie!



Rys. K. M. Sopoćko

Cz. Janczarski



rys 1

OTULINA NA BUTELKI

Otulinę na butelki wykonujemy z warkocza plecionego ze słomy. Ma ona bardzo duże znaczenie praktyczne, ponieważ umożliwia zachowanie płynów w jednakowej temperaturze (przez pewien czas) i chroni butelki zwłaszcza w czasie przewożenia od rozbicia. Niezbyt gruby warkocz zszywamy najpierw w krążek (spód butelki), a następnie zaczynamy obszywać ścianki butelki, łącząc lnianą nitką brzegi warkocza. Warkocz powinien być pleciony ściśle. Zszywania warkocza również (dociskać krawędzie warkocza). Długość warkocza zależna od wielkości butelki. Przybliżony wymiar można uzyskać przy pomocy luźno okręcanego na butelce sznurka. Na wierzchu butelki zrobić z warkocza kapturek.

W podobny sposób można robić otuliny na dzbanek, garnki, dziełki, wazonny itp., a nawet i na buty (w czasie mrozów).

opr. Jerzy N.

CZYTELNICY „PŁOMYCZKA”

Wysłaliśmy „Płomyczek” do wszystkich szkół wiejskich w całej Polsce, gdyż pragniemy, aby każde dziecko mogło poznać nasze piśmko. Czy przeczytaliście je wszyscy?

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata: u listonosza lub na poczte miesięcznie 40 zł, kwartalnie 120 zł.

Prenumeratę należy wpłacać przed 20 każdego miesiąca na miesiąc (kwartał) następny na konto P.P.K. „RUCH”, P.K.O. V-6711 „Płomyczek”.

Pojedynczy egzemplarz kupowany u sprzedawcy kosztuje 15 zł. — Wszelka korespondencję w sprawie prenumeraty należy kierować pod adresem: P. P. K. „Ruch”, Dział Prenumeraty Poczłowej, Poznań, ul. Grunwaldzka 19.



ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4
Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: K. M. SOPOCKO
Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.
Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.

Wielkopolskie Zakłady Graficzne w Poznaniu, Zakład Główny — K-1-11928 — 3008/8/50

P ??? CHWILĘ OMYŚL ???

SPIJ	PILNIE I DOKŁADNIE
MYJ RECE	PODCZAS LEKCJI
MYJ OWOCE	PRZED I PO JEDZENIU
UCZ SIĘ	PODCZAS JEDZENIA
UWAŻAJ	PRZY OTWARTYM OKNIE
NIE CZYTAJ	PRZED JEDZENIEM

PRZECIĘTE HASŁA

Jeden z waszych kolegów przysłał nam sześć, podobno, bardzo mądrych hasel. Niestety podczas otwierania listu przecięliśmy kartkę i hasła nam się pomieszały, tak że pierwsza część jest od jednego, a druga od innego — jak to widzicie na rysunku.

Spróbujcie połączyć właściwe części z sobą i jeżeli wam się to uda, napiszcie do nas.

REBUS



MASZYNA SMOK



Ta olbrzymia maszyna, którą widzicie na fotografii, znajduje się w Domu Słowa Polskiego w Warszawie, największych u nas zakładach drukarskich. Nazywa się ona maszyną rotacyjną, a potrafi w przeciągu 1 godziny wydrukować 600 000 egzemplarzy gazet!